

Ina Goldin "Przekleństwo"

Fahrenheit Crew

Prefektura Nagasaki, Japonia, 1945 rok

Yukari składała żurawiki origami.

Ostatnie dni były naznaczone monotonią: złożyć kartkę na pół - jeszcze raz - odgiąć - nadedrzeć - jeszcze raz złożyć, przeciągnąć zgięciem po krawędzi szpitalnego stolika, odgiąć skrzydła, wyprostować. Jeśli zmusisz życie do wykonywania takich nieskomplikowanych operacji, nie pozostawisz mu marginesu na ucieczkę. Żurawiki piętrzyły się na stoliku, na krześle obok łóżka. Z kołdry trzeba było zabrać, ponieważ siostra za każdym razem konsekwentnie je strzepywała. Wcześniej nie latały, teraz się nauczyły.

Kiedy zrobi tysiąc, wróci do domu.

- Yukari-chan, dziewczynko, czemu nie jesz? Czy nie rozumiesz, że jeśli nie będziesz jadła, twoje żurawiki nie będą miały skąd czerpać sił?

- Mdli mnie, Chitagawa-san.

Opaska, która zakrywała głowę i pół twarzy dziewczynki, utrudniała rozmowę. Doktor się uśmiechał. Pewnie nie przeglądał się w lustrze i nie widział, że z oczu wyziera mu bezradność i smutek. Dzieci go uwielbiały. Wiedziały, że do szpitala w Isahaya przeniesiono go w czterdziestym czwartym roku. Obiecali, że szybko przydzielą mieszkanie, by mógł sprowadzić żonę i dzieci z Nagasaki. Nie zdążyli.

Doktor przysiadł na łóżku, ścisnął rękę Yukari.

Nie wiedzieć czemu, nie podobały mu się żurawiki. Poradziłby dziewczynce robić coś innego, ale milczał. Myślał - co by nie zaproponował, ona i tak umrze.

Yukari cierpliwie i bez słowa znosiła zabiegi, wpatrując się w biały sufit, a w głowie nieustannie składały się żurawiki: złożyć - jeszcze raz - odgiąć - nadedrzeć...

Kiedy złoży tysiąc, od razu wyzdrowieje.

- Chitagawa-san, może by się pan przespał?

- Biedna dziewczynka. Składa je i składa.

- Już zmęczyłam się sprzątaniami. Wszystkie opakowania po lekach u mnie wyprosiła. Nawet teraz je puszcza. A rano znów robi. Nie zabraniajmy jej. Będzie miała lżejszą śmierć.

- Nie rozumiem ich. Taki wielki wynalazek. Taka skala. I po co? Zabito dziesięcioletnie dziecko.

- Już trzy doby na nogach, ileż można, proszę iść się położyć.

Traciła teraz znacznie więcej czasu na złożenie żurawika, ale się starała. Nie wolno dopuścić, by stały się tak samo chore jak ona. Skrzydła im zrobi dobre, mocne, a reszta- to już pestka.

Wokół wszystko stawało się nierealne, tylko żurawiki były prawdziwe, białe i wyraźne. Prawdziwa flota powietrzna.

Uśmiechnęła się. Wcześniej o tym nie pomyślała. Ach, gdyby one poleciały bombardować Amerykę, tak jak tatuś... Z trudem zeszła z łóżka, pozbierała zalegające na stoliku origami. Otworzyła okno. Rozstawiła na parapecie papierowe bombowce.

Powoli podnosi się chudziutka ręka, powoli odchyła się dłoń. Rzut - żurawik łowi wiatr.

Najpierw nikt nie pomyśli nic złego - białe, niebudzące strachu ptaki, daleko w błękicie, nic nikomu do tego. Nie przestraszyły się z mamą, kiedy spojrzały w górę i zobaczyły B-29. Też coś... tylko jeden... i nawet nie ogłosili alarmu. Mama powiedziała:- „Nie zwracaj uwagi, córeczko”.

Wyobraziła sobie, jak ogromne, białe samoloty zniżają się nad miastem i miasto drży, zapala się i wali. Domy czernieją i rozpełniają się jak skóra na jej twarzy pod opaską. Podnosi się kurz, jakby ogromny koń uderzył w miasto kopytem. Po raz pierwszy nie czuje strachu przed wspomnieniami, ponieważ teraz to nie dzieje się z nią - tylko z nimi. Żurawiki uniosą nieszczęście. Odniosą komuś innemu.

Ręka podnosi się powoli - i opada, papierowy ptak wyslizguje się; krążąc, ląduje na podłodze.

- Chitagawa-san! Szybko do czternastki!

Kiedy wbiegł na salę, pielęgniarki jeszcze krzątały się koło dziewczynki, chociaż nie było już ku temu potrzeby.

- Nie ma już do czego się spieszyć - powiedział. - Ona ma teraz czasu pod dostatkiem.

Kiedy dziecko wywieziono, zatrzymał się przy otwartym oknie. Zimny wiatr przyniósł słodki zapach ziemi i mokrych liści, ale go nie czuł, po dawnemu wdychał smród palącego się ciała.

Podniósł żalostnego papierowego ptaka i wyprostował.

Wcześniej, kiedy zbliżał się do okna wychodzącego na tę stronę, myślał zawsze o domu: jeśli pociągiem, to bardzo blisko.

Zamachnął się i z całej siły rzucił żurawika w niebo, które ich wszystkich zdradziło.

Boston, USA, 2001 rok

- Jerry!

Lori ziewnęła. Poranek był jasny, słoneczny, ale kiedy wyszła po gazetę, zaatakował ją wiatr i stało się jasne - przyszła jesień.

- Jerry!

Jezusie Nazareński, każdego ranka to samo. Głupoty opowiadają o samodzielnych samotnych matkach, ona sama nie poradzi sobie z chłopakiem, w którymś momencie się podda.

- Geraldzie Cunningham, jeśli jeszcze się nie pozbierałeś, to miej pretensje do siebie!

Weszła po zalanych słońcem drewnianych schodkach. Okno w dziecinnym pokoju było otwarte na oścież. Jerry siedział po turecku na łóżku, już ubrany, tylko bez skarpetek. W skupieniu oglądał jakąś figurkę z papieru. Doktor Louis mówił, że to dziecko jest nadto kontemplacyjne. To niezbyt dobrze dla dziesięcioletniego chłopca.

Zatrzymała się w drzwiach. Chyba trzeba się rozzłościć.

- Chcesz się spóźnić na autobus?

- Spójrz, mamó. - Pokazał figurkę. - Przyleciała nocą, kiedy spałem.

Spojrzała - papierowy samolocik, Taki sam jak te, które robiła z Anną na lekcjach matematyki. Bardzo starannie wykonany. Syn tak by nie złożył, wdał się w nią; dwie lewe ręce.

- Ciekawe, kto ci go przysłał. - Zatrzasnęła okno.

Wzruszył ramionami.

- No, dobra - specjalnie odezwała się ostro. - Uprzedzałam. Teraz, Jerry, rakietą!

Chwyciła syna pod pachy, aż bosa pięty zadyndały w powietrzu, zniosła na dół, ulokowała na krześle w kuchni.

- Houston melduje: Lądowanie wahadłowca przebiegło pomyślnie!

Śmiał się, ale jakoś sztucznie, ponieważ „rakietą Jerry” nie była ich grą. To gra Lucka.

Niech diabli wezmą Lucka. Niech diabli wezmą Los Angeles.

Siedział w pokoju. Nie lubił wieczorów, od kiedy ojciec wyjechał. Trzeba było zejść na dół, do mamy, ale tak się nie chciało. Billy Yasugawa z równoległej klasy, pokazał mu na przerwie, jak się robi samolot. Co prawda powiedział, że to nie samolot, tylko żurawik. Jerry nigdy nie widział żywych żurawi.

Złożył kartkę z zeszytu na pół, potem jeszcze raz, odgiął, naddarł, znowu złożył. Życie nabrało rytmu. Stało się znacznie prostsze.

Pierwszego ptaka postawił na parapecie obok oryginału. Nie wyszło identycznie, ale i tak niczego sobie. Zapomniał, że nie lubi wieczorów. Po godzinie żurawiki zapełniły parapet. Może pokaże je tacie. A może nie.

- Lucky? To ty?

- Lori? Lori, coś się stało? Coś z Jerry'm?
- Nie... Tak. Czyżbym cię obudziła? Która u was godzina?
- Nie myśl o godzinie, i tak nie spałem. Złe mi się śpi bez was.
- Tylko nie chcę, żebyś pomyślał...
- Lori. Przestań. Przecież już zadzwoniłaś. Podniosłaś słuchawkę i zadzwoniłaś. Co się stało?
- Ja... Chodzi o Jerry'ego. Robi samolociki.
- Coś niesamowitego.
- Posłuchaj mnie. Posłuchaj. On robi je cały czas. Niczego więcej nie potrzebuje. Wróci ze szkoły - natychmiast idzie do siebie, na górę, i składa, składa. Zrobił ich już chyba z tysiąc. Ze mną nawet nie rozmawia.
- Jezus Maria! Byłaś z nim u doktora Louisa?
- A w czym tu może pomóc doktor Louis? Sama ci powiem, o co chodzi. Chłopakowi brakuje ojca. Według mnie, wakacji nie doczeka, wcześniej rozum postrada.
- Lori, bardzo cię proszę, musimy spróbować. Po prostu, spróbujmy. Nie wytrzymasz, wrócimy razem, rzucę tę diabelską pracę. Tylko spróbujmy. Proszę, przyjeżdżajcie natychmiast. Chociaż na tydzień.
- A szkoła?
- Bóg z nią. Dopiero początek września, oni tam jeszcze i tak nic nie robią.
- Zgoda. Szef mi zalega z urlopem. Ale pamiętaj, jeszcze niczego nie postanowiłam.
- Oczywiście. Rozumiem.
- Spróbuję wykupić bilet na poniedziałek. Może jeszcze zdążę.

- Halo, Lucky? Tu Lora. Gdzie ciebie nosi? Słuchaj, nie dostałam biletu na poniedziałek, wszystkie wykupione, dlatego przylatujemy we wtorek, jedenastego, samolot American Airlines...

- Lucky... Mam... Mam mało czasu, nie wiem, co się dzieje, oni... porwali samolot, mówią, że wszyscy zginiemy, o Boże, po co wlokłam ze sobą Jerry'ego, Lucky, prawdopodobnie z tego nie wyjdziemy. Módl się za nas, proszę, módl się za Jerry'ego, Boże, czym na to zasłużyliśmy, czym maluch im zawinił, siada mi bateria, kocham cię, Lucky...

Gigantyczny, biały ptak zniżył się nad miastem, wgryzł się w wieżowiec. Gmach drgnął, zapalił się i runął.

Tłumaczenie: [Tadeusz Rubnikowicz](#)